TYGODNIK ZAKOPIAŃSKI.

Nr. 33.

# Po sezonie zimowym.

Jeżeli już wolno innym pismom i wogóle prasie robić „bilanse", tegorocznego sezonu zimowego w Zakopanem, to przedewszystkiem wypada zrobić nam jako skromnej prasie miejscowej — a trzeba nawet tembardziej, że wkradły się w innych pismach pewne błędn mniemania, które rzecz całą w odmiennem świetle przedstawiają.

Zima tegoroczna u nas choć nie tak śnieżna i mroźna, nie tak piękna i urocza jak po inne lata, była jednak przeważnie pogodna, pozbawiona mgieł — a tem samem pozwalająca chorym korzystać ze zdrowego powietrza. I właśnie w tym roku przybyło do nas więcej chorych aniżeli zdrowych, przybyło więcej ludzi potrzebujących wytchnienia, odpoczynku i spokoju po pracy, aniżeli ludzi młodych lub goniących za zabawami karnawałowemi.

I to też może być jednym z powodów, dlaczego opinja publiczna wyrobiła sobie sąd ujemny o tegorocznym sezonie zimowym — wyrobiła sobie zdanie jakoby w tym roku było u nas mniej niż zwykle gości — jakoby Zakopane chyliło się wprost ku upadkowi. A tymczasem rzecz się ma wprost przeciwnie. Według urzędowego spisu gości rok zeszły liczył zimę 684 osób, tej zaś zimy do końca lutego bawiło u nas 878 osób, a więc prawie o 200 osób więcej.

Życie jednak tegorocznej zimy miało nieco odmienny charakter, niż za lat poprzednich. Rozpoczęło się ono naprawdę dopiero w miesiącu lutym — a towarzystwa grupowały się raczej po domach prywatnych niż w pensyonatach i zakładach, choć i tu różnica była bardzo nieznaczna. Stąd też poszło, że i karnawał nie był tak huczny jak dawniej — mniej było życia i werwy na zabawach publicznych. Lecz mimo to zabaw było dosyć — a wiele z nich nawet bardzo udatnych, wystarczy wspomnieć o takich jak bal „Gwiazdy", „Obywatelski" — wieczorki w zakładzie dra Chramca, Lilianie i t. p., co zaś najważniejsza, to dochód na cele dobroczynne był, ogółem biorąc wcale znaczny.

Zresztą nie wielka strata, że mniej było zabaw — większa, że mało nader zajmowano się ruchem umysłowym, a przyczyn tego trzeba już szukać nie wśród naszych gości, ale nieco dalej...

A więc kiedy się cofniemy myślą do początku sezonu — pójdziemy z jego biegiem, to widzimy, że Zakopane bynajmniej nie upada, że frekwencja gości raczej się zwiększa aniżeli zmniejsza — tylko że mniej było ruchu zabawowego niż dawniej, lub też, że komitety, urządzające jakiekolwiek atrakcje wśród monotonnego życia, nie umiały zainteresować publiczności, czy też uczynić zadość wymaganiom. Teraz kiedy zima już nas opuszcza, kiedy nastanie czas przejściowy będziemy z niecierpliwością oczekiwali letniego — pełnego sezonu, ciekawi, co on też nam przyniesie?..,

Dodatek bezpłatny do „Głosu Narodu" z dnia 20 Marca 1904 r.

# KRONIKA.

**Nadzwyczajne walne zgromadzenie** stowarzyszenia „Schronienie nauczycielek“ w Zakopanem, zostało zwołane d. 6 b. m., celem zreformowania statutu. Sprawa wzbudziła widocznie wśród członków zainteresowanie — zebrano się bowiem wyjątkowo licznie. Najważniejszą z reform statutu, jest zmiana tejże instytucji, wyłącznie dotychczas kobiecej, na ogólno nauczycielską, z którejby korzystać mogli zarówno nauczyciele jak i nauczycielki, bądź to rządowi, bądź też prywatnie. Zauważono przytem też, że stowarzyszenie tak zmienione i solidarne, będzie mogło daleko więcej zdziałać. Nazwa instytucji zatem ma brzmieć odtąd: „Schronienie dla nauczycieli i nauczycielek w Zakopanem“.

Dalej postanowiono, ażeby zwyczajnym członkiem Stowarzyszenia mógł być tylko nauczyciel lub nauczycielka; osoby nie należące do tego stanu, mogą być członkami wspierającymi (wkładka 8 koron rocznie) lub założycielami (100 koron jednorazowo), przyczem prawo głosu i wybieralności na członków wydziału lub komisji kontrolującej przysługuje członkom zwyczajnym. Wyjątek zrobiono tylko dla przewodniczącej lub przewodniczącego, którzy mogą być wybierani z pomiędzy członków założycieli lub wspierających. Wskutek tej zmiany statutu zrobiło Stowarzyszenie krok naprzód w przeistoczeniu się na instytucję samopomocy. Prócz tych ważniejszych zmian, nastąpiło wiele innych, które jednak są mniejszej wagi i nie wzbudzają zainteresowania dla szerszej publiczności.

**Święcenie niedzieli.** Zwrócono naszą uwagę, że są tu katolickie firmy stare, które trzymają sklepy otwarte w czasie nabożeństwa, poza godziną dziesiątą. Ciekawe zjawisko!...

**Nieszczęśliwy wypadek** zdarzył się dnia 7-go b. m. skutkiem nieposłuszeństwa w Zakładzie w Kuźnicach. Uczenice tegoż Zakładu zjeżdżały na małych saneczkach z pagórka, o bardzo silnym spadzie, wogóle z miejsca przez przełożonych zabronionego. Jedna z uczenic I r. III kursu nie mogąc w pędzie zatrzymać się, wjechała z całym impetem na budynek gospodarski i złamała bardzo nieszczęśliwie nogę. Inne doznały tylko silnego potłuczenia.

**Miłą owację** urządziła dziatwa tutejszej ochronki w dniu 8 b. m. ks. Kazimierzowi Kaszelewskiemu w dzień Jego Imienin. W uroczyście przyozdobionej salce wystąpiły dzieci z produkcjami deklamacyjnemi i śpiewem, dając tym sposobem dowód wdzięczności kapłanowi wielce około ochronki zasłużonemu.

**Plombowanie czasopism.** Zdziwiło nas bardzo, że w Czytelni klimatycznej, wszystkie czasopisma są plombowane; dowiedzieliśmy się jednakże, że jest to rzeczą wprost niezbędną, gdyż mimo uwag w Czytelni umieszczonych, gazety giną, na czem nietylko klimatyka cierpi, ale i ci, którzy te pisma z drugiej ręki prenumerują. Dziś nawet i plombowanie nie pomaga, gdyż mimo to czasopisma perjodycznie giną — naprawdę nie wiedzieć, co o tem sądzić?...

**Żywy dziennik.** Od dłuższego czasu ogłaszały ogromne afisze „Żywy dziennik“, a wymienione na nich nazwiska autorów takich jak Żeromski, Edna Mierz (Ostrowska), Miciński, Górski i inne, zaciekawiały i zniecierpliwiały nawet publiczność. Wreszcie dnia 12 b. m. zamiast 6-go odbył się „Żywy dziennik“, ale nie zgromadził, jakby się zdawało tłumów publiczności, lecz nader szczupłą jej garstkę, liczącą zaledwie 70 osób, a to dlatego, że krążyły pogłoski, jakoby najwybitniejsi z tego szeregu autorowie nie mieli brać udziału. I rzeczywiście pogłoski nie były mylne; udział czynny brali tylko pp. Borecki, Gwizdż i Wodkowski; innych autorów zastępywali wyżej wymienieni, odczytując ich utwory.

Całość stanowiła raczej „Żywą Chimerę“, aniżeli dziennik, a składały się na nią: znany utwór St. Żeromskiego „Godzina“, „Noc św. Jana“ Micińskiego; dwa utwory poetyckie Edny Mierz, a nadto p. Gwizdża „Rozmowa z duszą“; utwór podobno dowcipny, feljeton p. Wollowicza. Na zakończenie odczytał p. Borecki „Tydzień polityczny i Kroniczkę“. Całość mogła jednak, a nawet wywarła wrażenie, tylko zakończenie pamfletowe, odznaczające się nadto w wielu miejscach brakiem znajomości stosunków miejscowych, zostawiło pewien niesmak wśrod publiczności. Dochód, który zapewne jest bardzo nieznaczny, przeznaczono na cele tow. „Eleuterji“.

**Nieposzanowanie cudzej własności, czy ciekawość zbytnia?** Dochodzą nas skargi na pocztę, że pakunki doręczane, znajdują się częstokroć w stanie zrujnowanym; pieczęci brak, sznurek rozwiązany, papier pakunkowy przedarty, i przesyłka widocznie rozmyślnie otwierana... Nie winujemy tutejszego Urzędu pocztowego, zresztą nie naszą rzeczą szukać winowajcy, podajemy tylko fakta do wiadomości Dyrekcji poczt. Wina jest z pewnością pośrednictwa pocztowego, gdyż trudno przypuścić, aby który Urząd mógł przyjąć przesyłkę tak nieopakowaną.

**Nowe stowarzyszenie.** Wśród tutejszych górali powstała myśl założenia „Związku górali zakopiańskich“, i w tym celu zgromadzono się dnia 13-go b. m. na starej organistówce, by omówić bliżej cele i statuty stowarzyszenia. Zadaniem tego stowarzyszenia, w którem członkami zwyczajnymi mogą być tylko górale, jest przedewszystkiem szerzenie oświaty oraz zamiłowania do uprawy roli, pszczelnictwa, ogrodnictwa, następnie dążność do zachowania stylu, zwyczajów i stroju góralskiego, a wreszcie popieranie przemysłu krajowego. Towarzystwo to ma mieć również swój lokal na czytelnię. O statucie, który czeka obecnie na zatwierdzenie, i wogóle o całem tem Stowarzyszeniu, pomówimy w następnym numerze obszerniej; dziś wypada nam tylko podzielić głosy zadowolenia opinji publicznej, a zarazem zaznaczyć, że Towarzystwo to, niema żadnych celów politycznych.

**Ruch przedświąteczny.** W ubiegły wtorek, jako w dzień jarmarczny, Zakopane z uzdrowiska zmie-

niło się w wielką wieś góralską, rzucała nam przed oczy malowniczy obraz, pełen ruchu i życia. Kto w górach podobnych zjazdów górali nie widział, ten nie może sobie wyobrazić wprost jak to wygląda, zwłaszcza kiedy dzień jest pogodny i słoneczny. Wśród tego gwaru i ruchu, widać było jednak nadzwyczajny porządek, jaki władze miejscowe bez nadzwyczajnych środków potrafią utrzymać.

**Pogoda** w bieżącym miesiącu obdarza nas hojnie swymi darami, i podczas gdy na dolinach dni są pochmurne, deszczowe lub mgliste, Zakopane kąpie się w słońcu. Wszędzie widzi się już wiosnę, śniegi leżą tylko na górach, a po ulicach snują się kuracjusze i korzystają z dobrodziejstw górskich, ba nawet i turyści, żądni wrażeń i widoków, puszczają się już w góry na dalsze wycieczki.



# ZAGINIONY LEGION.

W czasie powstania w Indjach w roku 1857 na krótko przed oblężeniem Delhi, pułk jazdy złożony z krajowców, stojący załogą w Peshawer na granicy, uległ podług wyrażenia [1]) Johna Lawrence „bieżącej manji", t. j. zapragnął połączyć się z powstańcami. Uczyniłby też to bez wątpienia, gdyby pozostawiono mu swobodę działania, ale zwróciwszy się ku południowi, natknął się wnet na korpus angielski, który odrzucił go w góry Afganistanu, tam zaś świeżo podbite przez Anglików plemiona góralskie, rzuciły się nań jak gromada wilków, na stado jeleni.

Przez chciwość łupu jedynie, zwabieni połyskiem broni i jaskrawą barwą mundurów, ścigali Afgani buntowniczy legjon z góry na górę, z doliny w dolinę, przez suche łożyska rzek i spadziste rozpadliny, aż w końcu znikł on wśród nich, jak woda wsiąknięta w piasek.

Po zaginionym legjonie została jako jedyny ślad lista żołnierzy i oficerów wypisana kaligraficznem rondowem pismem, z własnoręcznym podpisem majora adjutanta.

Na pożółkłym tym i zatłuszczonym papierze, wyczytać jeszcze można następnej treści notatkę skreśloną ręką Johna Lawrence: „Zapewnić nietykalność mienia dwom oficerom krajowcom, którzy pozostali wierni rządowi angielskiemu.

Notatka ta dowodzi, że na 650 ludzi wchodzących w skład owego pułku, dwóch tylko wytrwało przy sztandarze angielskim, i że John Lawrence pomimo nawału klęsk i trudów, które spadały na niego w owym czasie, zdołał jednak pomyśleć o wyznaczeniu należytej nagrody, tym dwom prawomyślnym obywatelom.

Stało się to wszystko lat temu 40, a nadgraniczni górale afgańscy, którzy tak dzielnie dopomagali rządowi w zgnieceniu buntowniczego legjonu, są już dziś starcami; pamiętają jednak dobrze całe to zdarzenie, i nieraz siwobrody Afgan, opowie ciekawemu szczegółów turyście, własny swój udział w owem morderczem dziele.

[1]) Jeden z wodzów angielskich walczący przeciw powstańcom.

„Przyjechali powiada do nas tacy pyszni w swoich mundurach, wołając, byśmy szli wraz z nimi zabijać Anglików, tam w Delhi, ale my, których ci sami Anglicy dopiero co pobili, poznaliśmy co to za sprawka, a przytem dorozumieliśmy się odrazu, że rząd upominać się wcale nie będzie o życie takich tam psubratów z nizin. Przyjęliśmy więc tych Hindusów miodowemi słówkami i wytrzymaliśmy ich na miejscu, dopokąd nie nadciągnęły czerwone mundury, złe i gniewne.

Hindusi zapuścili się wówczas w nasze wąwozy, by ujść przed gniewem Anglików; my zaś szliśmy ślad w ślad za nimi, trzymając się stoków gór, a gdyśmy już byli pewni, że zabrnęli dość daleko, i drogi powrotnej sami nie znajdą, wpadliśmy na nich nagle, bośmy chcieli odebrać im mundury, broń, uprząż i buty, najbardziej chodziło nam o buty. — To było dopiero zabijanie, pomordowaliśmy ich co do jednego.

Mówiąc te słowa, stary góral pociera sobie nos palcem, a potrząsając gadzinowo spadającymi kosmykami włosów, oblizuje zarosłe wargi, ukazując w pożądliwym uśmiechu spróchniałe żółte zęby, chwiejące się w osłabłych dziąsłach.

„Tak mówi dalej: pozabijaliśmy ich, bośmy chcieli zabrać szmaty ich i rupiecie, a przytem wiedzieliśmy, że życie ich należy się Bogu za niegodziwości ich i zdradę; bo i czemuż podnieśli broń przeciw tym, których chleb i sól jedli. Tłukli się na swoich koniach po wąwozach naszych i urwiskach, potykając się co krok i chwiejąc się na siodłach, ryczeli wciąż o wodę i żywność, a my szliśmy za nimi milczkiem, zganiając ich niby bydło, aż zgromadzili się wszyscy w wielkiej dolinie Sheor-Kot.

Co prawda dużo ich poginęło przedtem jeszcze z braku wody, ale i tak dość ich jeszcze dla nas zostało. Nie mieli już siły bić się z nami, to też jakeśmy wpadli między nich, każdy z nas zwalił z konia po dwóch i po trzech naraz, a synowie nasi niedorostki dobijali ich szablami.

Ja wziąłem swoją część łupu tyle i tyle siodeł, tyle strzelb, a wtedy strzelby były rzeczą łakomą nie

to co dziś. I tak zmietliśmy z powierzchni ziemi ów pułk, i pamięć o tem nawet zaginęła chociaż mówią...

Tu zwykle opowieść urywa się i w żaden sposób wydostać nie można z górala co właściwie mówią o tej sprawie, z tamtej strony granicy.

W ogóle Afgani mało skłonni są do wynurzeń, i o wiele łatwiej przychodzi im popełnić łajdactwo, niż porządnie o niem opowiedzieć.

I tak, są w stanie zachowywać się najprzykładniej całe tygodnie i miesiące, aż naraz bez żadnej przyczyny bez słówka zapowiedzi rzucają się na posterunek żandarmerji konsystujący w pogranicznej jakiej wiosce, a poderznąwszy gardło paru agentom strzelają do bezbronnych chat, porywają parę kobiet, dokonawszy zaś tego, powracają oświeceni łuną pożaru w niepłodne swoje góry pędząc przed sobą zagrabione bydło i kozy.

Po każdym takim wypadku rząd anglo-indyjski przybiera ton żałośliwy przemawiając mniej więcej w ten sposób: „Poprawcie się choć teraz i bądźcie grzeczni, a darujemy wam to drobne zajście“. Na to całe pokolenie wmieszane w niedawny rozbój przykłada impertynencko palec do nosa na dowód, że nic sobie nie robi z przedłożeń rządu; wówczas ten ostatni zmienia taktykę, mówiąc: „Moglibyście przynajmniej dać nam trochę pieniędzy za tych parę trupów zabitych na naszem terytorjum“. Wtedy górale okazują pewną skłonność do układów uciekając się przytem do wszelkiego rodzaju kłamstw i wykrętów, co nie przeszkadza kilku młodszym i bardziej wojowniczym w urządzeniu zamachu na inny posterunek, przyczem zdarza się im niekiedy zabić prawdziwego angielskiego oficera. To nastraja już zupełnie poważnie rząd, który mówi: „Jeśli i teraz jeszcze nie zmienicie trybu postępowania zmuszeni będziecie gorzko tego żałować“. Zuchwałe plemię jest zwykle wybornie poinformowane o stanie umysłów w Indjach i zachowuje się odpowiednio, t. j. trwa w uporze, lub też prosi o przebaczenie, według tego czy rząd zajęty jest wewnętrznemi zamieszkami, czy też ma wolne ręce dla poskromienia nadgranicznych gwałtów. Niektóre plemiona dochodzą w tej mierze do takiej doskonałości, że nie popełnią ani jednego morderstwa powyżej tych, które wolno im popełnić bezkarnie. Inne o żywszym nieco temperamencie zapędzają się za daleko, jakby wyzywając rząd: „A chodźcie tu, spróbujcie!“

Wówczas rząd przygotowuje kosztowną wyprawę rzuciwszy wprzód łzawe wejrzenie w stronę urzędu podatkowego, który zwykł uważać tego rodzaju mściwe przedsięwzięcia za brutalne i zbytkowne ekscesa. Rząd jednak wysyła w góry uzbrojoną kilku działami brygadę, polecając jej zapędzenie złośliwego pokolenia z urodzajnych dolin na dzikie niepłodne szczyty, gdzie już żadne zboże nie dojrzewa. Złośliwe plemię jednak nie traci bynajmniej humoru, i udaje się tłumnie w góry, wiedząc wybornie, że Anglicy nie uczynią krzywdy pozostawionym w domu kobietom i rannym, że owszem tych ostatnich pielęgnować będą, że zresztą po wyczerpaniu przywiezionych z sobą zapasów żywności wolno im będzie powrócić znów w doliny, gdzie angielski dowódca paktować z nimi będzie jak z poważnym nieprzyjacielem. Jedyną niedogodnością tych pikników wojennych jest brzydki zwyczaj „czerwonych tunik“ (tak nazywają Afgani angielskich żołnierzy) wysadzania w powietrze napotkanych po drodze fortów i wieżyczek obronnych, który to proceder uważają powszechnie górale za bardzo lichy dowcip.

W owym czasie wśród klanów uprawiających nadgraniczne rozboje odznaczył się szczególniej naczelnik pewien kapłan i zbój w jednej osobie, którego nazwiemy Mullah de Gulla Kutta. Człowiek ten doprowadził sport mordów nadgranicznych, do najwyższego stopnia artyzmu, mającego w sobie coś niemal dostojnego.

Było to dla niego zabawką zastrzelić śpieszącego drogą kurjera pocztowego, lub zbombardować jeden z ziemnych fortów w chwili gdy ludzie nasi udawali się na spoczynek. W wolnym zaś czasie czynił wycieczki w okolice, podżegając sąsiednie plemiona do tegoż rodzaju djabelskich sztuk. Prócz tego utrzymywał rodzaj zbójeckiej gospody we własnej wiosce Bersund, położonej w miejscu bardzo niedostępnem.

Każdy uczciwy morderca okoliczny znajdował tam bezpieczny przytułek, bo do wioski prowadziło jedno tylko przejście tak wązkie, że w każdej chwili można je było przekształcić w śmiertelną pułapkę, naokoło zaś sterczały ostre cyple wysokich gór niemożliwe do przebycia dostępne chyba tylko dla urodzonych górali.

Żył też tam sobie Mullah Kutta swobodnie i bez troski jako naczelnik osady złożonej z kilkudziesięciu chałup ulepionych z błota i kamieni, a w każdej takiej chałupie dostrzedz było można jakiś szczegół umundurowania angielskiego służący ku ozdobie jako łup zdobyty na trupach. Łatwo sobie wyobrazić iż rząd angielski pragnął serdecznie ująć owego łupieżcę, i proponował mu nawet kilkakrotnie by zechciał wreszcie wyjść ze swego ukrycia i pozwolił się powiesić, za ten lub ów rozbój w którym brał bezpośredni udział, on jednak odpowiadał niezmiennie. „Znajduję się przecie o małe 20 mil tylko od waszej granicy, chodźcie więc po mnie“.

„Przyjdziemy, przyjdziemy odpowiadał rząd i wisieć będziesz“.

Mullah de Gulla puszczał mimo uszu przestrogę wiedząc z doświadczenia, że cierpliwość anglo-indyjskiego rządu długą bywa jak letni dzień, zdawał się jednak zapominać, że i ramię sprawiedliwości bywa niekiedy długie jak noc zimowa.

Przyszła też wreszcie chwila, że po uspokojeniu wewnętrznem Indji, ospały rząd przewróciwszy się na drugi bok przypomniał sobie Mullah de Gulla Kutte, i jego 13-tu rozbójników.

Niebezpieczeństwem było wysłać przeciw niemu oficjalnie pułk wojska, bo w obec panującego pokoju krok taki poczytany byłby za wypowiedzenie wojny, słowem okoliczności domagały się działania szybkiego i dyskretnego, a przedewszystkiem uniknąć należało rozlewu krwi. Trzeba wiedzieć, że wzdłuż północno-zachodniej granicy Indji, rozmieszczonem bywa zwykle wojsko składające się z 30.000 pieszych i jezdnych, których obowiązkiem jest odgrywać w obec pobliskich plemion góralskich rolę stróżów czy

też pasterzy. Oddziały te przenoszą się ustawicznie z posterunku na posterunek wikłając się w coraz to trudniejsze i niebezpieczniejsze przedsięwzięcia, gotowi zawsze do wymarszu, prowadzą życie równie twarde jak ich muskuły, wciąż stawiając czoło niebezpieczeństwu, a gazety nigdy o nich nie piszą. Z pośród nich to właśnie postanowił rząd wybrać ludzi dla poskromienia Mullah Kutty.

Otóż pewnego wieczora w jednym z tych fortów górskich około których krążące patrole nocne dają wprost ognia nie pytając o hasło, a zielono modne fale owsa kołyszą się pod zimnym blaskiem północnego miesiąca, usłyszano nagle rozkaz natychmiastowego wymarszu. Oficerowie grający w bilard w klubie o ścianach z ziemi, powstali niechętnie i poczęli zwoływać swych ludzi.

W parę minut uruchomiono stu żołnierzy angielskich, paruset górali zwanych tu górkasami i setkę najprzedniejszej jazdy krajowej.

Dopiero gdy się ustawili w szeregu gotowi do wymarszu, wydano im cichy rozkaz objaśniający o celu ich wycieczki. Mieli oto udać się na Bersund i rozstawić w następujący sposób. Anglicy u stóp gór otaczających dolinę, górale w wązkiej szyi stanowiącej przejście do wąwozu, jazda zaś zaszedłszy z tyłu wdrapać się miała na szczyty gór, aby dać stamtąd ognia w razie, gdyby ludzie Mullah Kutty stawili niespodziany opór; miało jednak nastąpić to tylko w ostateczności, gdyż rozkaz brzmiał wyraźnie aby rzecz cała odbyła się w cichości i prawie bez wystrzału.

Oddział powinien był powrócić z nietkniętą amunicją, prowadząc z sobą spętanego Mullaha i 13-tu jego towarzyszy.

Wiadomem było z góry, że w razie powodzenia nikt nie zastraszy się o trudy i niebezpieczeństwa przebyte i nikt prawie wiedzieć o nich nie będzie, za to niepowodzenie ściągnąć mogło na oddział wielką odpowiedzialność, wywołując zatarg nadgraniczny, w którym Mullah Kutta urósłby z pospolitego zbója na popularnego wodza, stawiającego bohatersko czoło obcemu najazdowi.

To też zapanowała głucha cisza, zmącona jedynie chrzęstem igiełek magnesowych i odgłosem idących zegarków, tylko wodzowie obliczali szeptem odległość, i porozumiewali się co do godziny spotkania 3-ch oddziałów, z których każdy obrać miał inną drogę.

W pięć minut później, plac na którym się szykowano, był już pusty. Zielone mundury Gorkasów i płaszcze żołnierzy angielskich roztopiły się w ciemności, jazda zaś posuwała się drobnym galopem, sieczona gęstym deszczem, który nielitościwie mszyć poczynał. Obaczymy później, czego dokazali Gorkasy i Anglicy, tymczasem najcięższy trud przypadł w udziale jeździe która torować sobie musiała drogę przez niedostępne manowce, trzymając się zdala od mieszkań ludzkich. Wielu żołnierzy pochodziło z tych okolic kraju, co im jednak nie przeszkadzało iść z wielką gotowością przeciw swym współplemiennikom, wielu zaś oficerów robiło już tu na własną rękę wycieczki w góry, słowem okolica nie była dla nich obcą. Przekroczywszy granicę natrafili na łożysko wyschniętego potoku, przebyli je galopem, weszli w głąb kamienistej rozpadliny, a wydostawszy się stamtąd wdrapali się na niski pagórek, okrążyli drugi, zostawiając głębokie ślady kopyt końskich, wyciśnięte na świeżo zoranej roli, przebyli w bród po omacku jeszcze jeden strumień, przedostali się przez kamienisty grzebień, modląc się cicho, by nie zdradziły ich potykające się co krok wierzchowce, a trudząc się tak wśród deszczu i ciemności zostawili wreszcie za sobą wioskę Bersund i otaczający ją szereg kraterów.

Teraz należało zmienić kierunek, t. j. wstąpić trzeba było na stromą wyniosłość, okalającą tyły wioski. Przedtem jednak żołnierze chcieli wytchnąć w obszernej dolinie wyżłobionej u stóp owej góry, ściągnęli więc cugle koniom, ale te odmówiły posłuszeństwa, i nie chciały się zatrzymać.

Żołnierze kląć poczęli z cicha, wcale nie po chrześcjańsku, siodła ich zaskrzypiały, a konie nie przestawały rwać się naprzód.

Jeden z poruczników jadący na końcu oddziału, odwrócił się na siodle i szepnął jak mógł najciszej.

— Na miłość Boga! Carter, czemu zostajecie tak z tyłu, przyśpieszcie przecie kroku.

Przez chwilę nie było odpowiedzi, potem jeden z żołnierzy przemówił:

— Sahiba Cartera niema tu wcale, on jest na przodzie, za nami, niema nikogo.

— Ale jest ktoś! odparł porucznik, cały szwadron jedzie za nami.

W tejże chwili, major dowodzący oddziałem, nadjechał klnąc z cicha na czem świat stoi, porucznika Halley, który przemówił przed chwilą.

— Uważaj pan na arjergardę. Widocznie macie tam zapóźnionych jeźdźców, którzy piekielnie hałasują żelaznemi podkuciami. Trzeba być przecie gromadą idjotów, żeby się tak zachowywać.

— Czy mam ściągnąć mój szwadron? mruknął niechętnie porucznik, przeziębły do szpiku kości, skutkiem wilgoci i nocnego chłodu.

— Ale ściągnij go pan i to najprędzej pod batem, siejecie wciąż ludzi po drodze, i cała ich gromada snuje się nam na tyłach.

— Tak i mnie zdawało się, odparł porucznik, ale moi ludzie są wszyscy przy mnie, należałoby raczej obaczyć co robi Carter?

W tej chwili nadjechał znów żołnierz, zwracając się z pytaniem do porucznika Halley.

— Sahib Carter przesyła pozdrowienie i zapytuje dlaczego pułk zatrzymał się?

— A gdzież jest na Boga Sahib Carter?

— Na przedzie ze swym plutonem.

Cisza zapanowała wzdłuż kolumny, konie stały nieruchome, ale mimo to po przez szmer padającego deszczu, słychać było wyraźnie jakby stąpanie licznych jeźdźców.

— Cóż to idziemy kołem? czy też osaczono nas? — mruknął gniewnie major.

— Ścigają nas widocznie, rzekł porucznik Nallej.

— Oni tu nie mają koni pod wierzch, a przytem dawno by już dali ognia, zauważył major, to

chyba wiejskie konie robocze, wypuszczone na paszę.

— Ale nie, bo wtedy nasze zarżałyby do nich, a przytem tamci jadą już za nami jakie pół godziny, odrzekł porucznik.

To dziwne, że nie czuć tu koni, rzekł major, pocierając nos wilgotnym palcem, i wietrząc nim, jakgdyby wąchał wiatr.

— To widocznie fałszywy alarm, odrzekł porucznik. Cóż będziemy robić?

— Jedźmy dalej, rzekł major, bo stracimy noc.

Kolumna postąpiła kilka kroków z jaknajwiększą ostrożnością, naraz dał się słyszeć skrzyp żelaza o kamień, snop błękitnych iskier wytrysnął z pod kopyta jednego z koni, a jeździec zaklął głośno i bez zastrzeżeń potknął się bowiem o stos kamieni z hałasem, który by mógł już nie tylko śpiących, ale i zmarłych pobudzić,

Oto i macie! syknął Halley. Cała wioska się zbudzi i za chwilę przyjdzie nam maszerować pod gradem kul, oto skutki nocnej roboty.

Drżący z trwogi żołnierz poprawił się na siodle i usiłował wytłomaczyć, jakim sposobem koń jego potknął się na kopcu suchych kamieni, jakie tu sypią zwykle w miejscu, gdzie zamordowano człowieka. Nie trzeba było zresztą tłomaczyć przyczyn, bo za chwilę potknął się koń majora, za nim drugi i trzeci i żołnierze spostrzegli, że znajdują się wśród istnego cmentarza kamiennych kopców na dwie stopy wysokich. Historya nie zapisała cudów zręczności, jakich dokonał wówczas cały oddział, tylko później ludzie należący do owej wycieczki, opowiadali, że mieli wrażenie kadryla, odtańczonego eks proutu, bez muzyki i przygotowań. W końcu konie wiedzione własnym instynktem złamały szeregi i wyplątały się jakoś z tego labiryntu, poczem oddział zformował się znów w porządku i stanął o kilka metrów wyżej na pochyłości wzgórza. Wówczas rozegrała się znów scena bardzo podobna do opisanej poprzednio. Major i Carter utrzymywali uparcie, że nie wszyscy żołnierze ustawili się w szeregu i że mnóstwo ich plącze się jeszcze z piekielnym hałasem wśród kamiennych kopców, kryjących szczątki dawnych nieboszczyków.

Porucznik Halley opowiadał mi potem.

Nie zdawałem sobie już wcale sprawy, co to wszystko może znaczyć, widziałem tylko, że lada mocniejszy hałas rozbudzić może całą okolicę, a przytem byłbym przysiągł, że ściga nas cały pułk wojenny, który ze swej strony podnosi łoskot, będący w stanie rozbudzić cały Afganistan. Nie ruszałem się więc z miejsca czekając, co nastąpi, ale nic nie zaszło.

Co było jednak najbardziej zagadkowem wśród tej pracowitej nocy, to cisza panująca na pochyłości wzgórza. Wszyscy wiedzieli, że Mullah de Gulla Kuta tam ma coś nakształt wojennej strażnicy, to też oczekiwano lada chwila wystrzałów od wartujących tam prawdopodobnie żołnierzy, gdy jednak nie dawali oni żadnego znaku życia, ludzie nasi doszli do przekonania, że szum deszczu zagłuszył odgłos stąpań naszych koni, za co też dziękowali Opatrzności. Ostatecznie major przekonał się dowodnie, że niema za nami żadnych zapóźnionych żołnierzy, ani też oddziału jazdy nieprzyjacielskiej — ale ludzie nasi tracili coraz bardziej animusz, a spienione konie nie dawały się już utrzymać na miejscu. Cały oddział posuwać się zaczął w milczeniu i ostrożnie, a w kilka chwil potem wybuchła za nim straszna burza przeplatana piorunami, których huk zagłuszyć był w stanie każdy odgłos, choćby nawet huk dział.

Pierwsza błyskawica oświeciła wyraźnie nagą ścianę parowu i ostry skalisty szczyt rysującej się stalowo niebieskim konturem na ciemnem tle nocy, a o kilka metrów wyżej ukazała się oczom żołnierzy strażnica wojenna afgańska, murowana z kamienia, o dwóch piętrach, na które wchodziło się po drabinie obecnie wciągniętej do środka. — Przez okno widać było uzbrojonego w strzelbę człowieka, który przechyliwszy się mocno, zdawał się badać okolicę. Trwało to zaledwo przez jedno mgnienie oka, poczem znów ciemność zapadła, a z wieży dało się słyszeć wołanie:

— Kto idzie?

Jeźdzcy stanęli jak wryci, wstrzymując konie i ściskając w ręku karabiny — a głos zabrzmiał znów:

— „Kto idzie“.

A potem głośniej jeszcze.

— „Hola bracia! wołajcie na trwogę“.

W odpowiedź na to drugie wołanie dała się słyszeć jakby skarga przeciągła płynąca z dołu.

„— Marf karo! marf karo!“

Co znaczy, miejcie litość! Skąd by jednak mógł pochodzić ów głos?

Każdy z żołnierzy składających oddział kroczący pod górę wolałby stokroć skonać na miejscu niż tak odrazu żądać pardonu, a przecież skarga zdawała się pochodzić jakby z ich szeregów. Oniemieli ze zdumienia jeźdzcy stanęli jak wryci, a żołnierze szeptać poczęli do siebie.

— Mir Khan — czyś to ty wołał? Czy to twój głos Abdullah?

Porucznik Halley stał obek swego konia i czekał w milczeniu. Naraz długa błyskawica oświeciła spienione dyszące konie i stojących obok nich ludzi z oczyma rozszerzonemi z przerażenia. Kamienna wieża ukazała się znów, ale okno było zamknięte i okiennica zapuszczona, nie widać też było ani śladu człowieka.

— Naprzód — rzekł major — musimy w każdym razie dojść.

Oddział zakołysał się ciężko i ruszył znów w pochód, konie potykały się co krok, a ludzie wieszali się wprost na uzdach. Kamienie usuwały im się z pod stóp, a kopyta podkute krzesały z nich nieustannie iskry.

(C. d. n.).



# Lista gości bawiących w Zakopanem.

(Ciąg dalszy).

Dr Kaz. Bliziński adw., Lwów.
Jerzy Grużecki sł. chemji, Lwów.
Jadwiga Wrońska, Warszawa.
Zofja Kistelska żona inżyniera, Gub. Piotrkowska.
Zygm. Kerth aus. sąd., Sambor.
Stan. Szczepan ucz. gimn. Rzeszów.
Józef Unger sł. praw, Kraków.
Dr Edm. Supiński, Kraków.
Leokadja Mlicka, Ks. Poznańskie.
Przemysł. Mączewski sł. fil., Lwów.
Kaź. Zielińska, Król. Polskie.
Zofja Mussilowa wdowa po inż. Król. Polskie.
Mieczysława Mussilowa, Król. Polskie.
Celina Dąbrowska, Kraków.
Natalia Leszczyńska córka obyw., Gub. lubelska.
Juljan Chrysowski kupiec, Lwów.
Natalja Chalewska, Gub. płocka.
Zofja Benisławska, Infl. pol.
Hr. Ella Plater, Infl. pol.
Br. Ludwikowa Puszetowa, Kraków.
Bohd. Kutyłowski adw. przyś., Petersburg.
Kaź. Zagrzajewski inż., Gub. Radomska.
Kaź. Rudnicki prawnik, Kraków.
Wiktor Koźmiński obyw., Podole ros.
Rudolf Harok, Bielsko.
Karol Jelsch, Biała.
Ks. M. Jantos, Sosnowice.
Leon Schiller kupiec, Kraków.
Wiktor Osberger, Bodenbach.
Aleksander Wernik, Warszawa.
M. Bojańczykówna sł. med., Kraków.
Antoni Kosiecki wł. dóbr, Korytna.
Józef Mühlner, Borszczów.
Emilja Kuhlowa żona prof. szk. roln., Czernichów.
Bronisława Sawicka naucz., Warszawa.
Alb. Hohman insp. asek., Przemyśl.
Bolesł. Buckiewicz, Podole ros.
Józef Wosiński, Warszawa.
Pelagja Przeździecka, Wieluń.
Marja Popielska, Warszawa.
Leopold Kulka, Wiedeń.
Ignacy Witkiewicz adw. Mińsk litew.
Piotr Bohusz geometra, Gub. grodzieńska.
Jan Kowalik, Lwów.
Józef Świątkowski inż., Warszawa.
Zenon Hoch kupiec, Tarnopol.
Łucyna Łopacińska naucz., Warszawa.
Emilja Witkowska naucz., Warszawa.
Dr. Henryk Dobrzycki lekarz, Warszawa.
Gust. Herby, Wiedeń.
Paweł Paliszczuk naucz., Skałat.
Sokołowski inż., Warszawa.

## DZIAŁ INFORMACYJNY.

### Hotele:

„Morskie Oko“ — „Turysta“ — „Pod Giewontem“ — „Staszeczkówka“ — „Warszawski“ (Dra Danielaka).

### Zakłady:

Zakł. wodoleczniczy Dra Chramca (centr. ogrzewanie, oświetlenie elektr.) — z całem utrzymaniem i leczeniem od 8 kor. dziennie.

Zakł. Dra Chwistka — od 8 kor. dziennie

Zakład dla chorób gruźliczych p. Zofji Hawrankowej — od 9 kor. dziennie.

Sanatorjum dla chorób piersiowych w Kościeliskach — od 11 kor. dziennie.

### Pensjonaty:

| | | |
|---|---|---|
| Pens. „Skoczyska“ . . . | od 10 k. | dziennie. |
| „ „Liliana“ . . . . | „ 9 „ | „ |
| „ „Klemensówka“ (Bauera) | „ 8 „ | „ |
| „ „Maxfeldowej“ . . | „ 8 „ | „ |
| „ „Neużylowej“ . . . | „ 7 „ | „ |

### Ruch pociągów w zimie:

| | | | |
|---|---|---|---|
| Odchodzą z | Zakopanego . | 10·20 | 4·35 |
| | Chabówka . . . | 12·15 | 7·25 |
| | Kraków . . . . | 4·40 | 11·05 |
| Odchodzą z | Krakowa . . . | 11·40 | 9·02 |
| | Chabówka . . . | 4·00 | 1·40 |
| | Zakopane . . . | 7·05 | 3·35 |

**Czytelnie.** 1) Klimatyczna czytelnia czasopism, w biurze Komisji klimatycznej, otwarta cały dzień, bezpłatna.

2) Wypożyczalnia w księgarni Zwolińskiego.

3) Czytelnia czasopism i wypożyczalnia książek Stowarzyszenia „Czytelnia Zakopiańska“, willa Polanka obok poczty. Dla członków bezpłatna, dla obcych abonentów za opłatą 3 Kor. miesięcznie. Cały dzień otwarta.

## Spostrzeżenia meteorologiczne.

| Data | Ciepłota najniższa | Ciśnienie barometryczne | Stan powietrza |
|---|---|---|---|
| 2/3 | — 2·5 | 694·6 | chmurno |
| 3/3 | — 6·1 | 696·1 | „ |
| 4/3 | — 7·0 | 694·6 | pogoda |
| 5/3 | — 10·0 | 693·5 | chmurno |
| 6/3 | — 12·3 | 694·8 | śnieg |
| 7/3 | — 11·7 | 694·0 | „ |
| 8/3 | — 12·0 | 690·2 | pogoda |
| 9/3 | — 8·2 | 697·4 | „ |
| 10/3 | — 6·2 | 695·4 | „ |
| 11/3 | — 5·0 | 692·6 | deszcz |
| 12/3 | — 9·5 | 695·0 | mgła |
| 13/3 | — 5·2 | 694·0 | pogoda |
| 14/3 | — 7·0 | 687·7 | „ |
| 15/3 | — 5·9 | 687·7 | „ |

# Spółka Handlowa

## w Zakopanem

(Stowarzyszenie zarejestrowane z ograniczoną poręką).

**Filie:** **na Chramcówkach l. 14**
**i w Nowym Targu na Rynku.**

**WIELKI SKŁAD TOWARÓW MIESZANYCH**

poleca:

*Wszelkie towary kolonialne i spożywcze*
*Wina, rumy, likiery, rosolisy i piwo*
*Porcelanę, szkło, lampy i przybory do lamp*
*Naczynia kuchenne blaszane i żelazne*
*Wszelkie wyroby w zakres handlu żelaznego wchodzące*
*Naftę, farby, lakiery; materyały pisemne*
*Przybory do szycia, toaletowe i galanteryjne*
*Perfumeryę, bieliznę*
*Wyroby koszykarskie, Zabawki*
*Wyprzedaż serdaków własnego wyrobu*
*Wielki skład wyrobów drzewnych rzeźbionych.*

**Spółka handlowa zaopatrzona jest we wszelkiego rodzaju potrzebne towary, tak dla ludności miejscowej jak i dla przybywających na sezon gości.**

---

# ZAKOPANE

## Zakład wodoleczniczy

**przy ul. Krupówki**

**850 metrów nad poziomem morza położony.**

**Zastosowanie wszelkich metod nowoczesnych wodoleczniczych, elektryzowanie, masaż.**

## Zakład dyetetyczno-hygieniczny

**urządzony w willi „Adaslówka", 950 metrów nad poziomem położony, w miejscu spokojnem zdala od ruchu turystycznego, wśród lasów szpilkowych.**

Przyjmuje chorych na osłabienie nerwowe, chorych z upośledzonem trawieniem na tle funkcyonalnem, rekonwalescentów po ciężkich chorobach i chorych na otyłość.

Nie przyjmuje chorych na wady serca niekompensowane, na gruźlicę płuc i umysłowo chorych.

Leczenie polega na zastosowaniu najnowszych metod dyetetyczno-hygienicznych.

***Dr. Bronisław Chwistek***
*lekarz kierujący.*

---

# Bazar przemysłu krajowego

# J. F. J. Komendziński

## Zakopane — Krupówki.

Poleca Szanownej Publiczności **rzeźby** własnego wyrobu. **Majolikę** w wielkim wyborze z Kołomyi. **Hafty** najrozmaitsze w stylu góralskim gustownie wykonane. Rozmaite **zabawki** z drzewa dla dzieci. Wielki wybór **mebli bambusowych** i z trzciny oraz rozmaite koszykarskie roboty. **Fartuszki** ozdobne w stylu huculskim. **Dywany, chodniki, portyery, kilimy**, patarafki i t. p. **Koce** wełniane, **derki, kapy** na łóżka. **Hafty** wiązownickie. Peleryny w wielkim wyborze gotowe i na zamówienie. **Bławaty, materye** wełniane na suknie, oraz płócienka, zefiry i perkale. **Bieliznę męską i damską. Rękawiczki** warszawskie. **Parasole i parasolki. Krawatki. Bieliznę** dla turystów. **Obrusy, serwety, ręczniki, chustki** do nosa. **Serdaczki** sukienne haftowane dla pań i dzieci.

---

# Zakład Wodoleczniczy

## Dra Chramca

**w Zakopanem**

*otwarty cały rok.*

**Ceny przystępne — począwszy od 8 koron dziennie z całem utrzymaniem.**

Pierwszorzędne urządzenie lecznicze.

**Oświetlenie elektryczne.**

*Park świerkowy. — Gimnastyka.*

---

Z powodu wielkiego zapasu KONIAK — po cenach fabrycznych sprzedaje.

## Skład Materyałów Aptecznych

**Magistra Farmacyi**

**✶ E. de CLOSMANNA ✶**

pod własnym zarządem

poleca: **Wina** 20-letnie kuracyjne, **Koniaki**, także we flaszkach turyst. po 80 ct. **Środki lecznicze dyetetyczne. Wody i Sole mineralne**, Herbatę, Czekoladę, Miód, **Wyroby gumowe**, Szczotki, Grzebienie, Rękawice do nacierania, **Termometry**, Przybory **fotograficzne.**

**„Eau de Capille"**

najlepsza woda przeciw wypadaniu włosów.

**WAGA OSOBOWA patent. — Ceny najniższe.**

Ul. Krupówki l. 50 **tylko za Mostkiem.**

Wydawczyni: Józefa Rogoszowa. Redaktor odpowiedzialny: Dr. Antoni Beaupré.
Druk W. Korneckiego w Krakowie.